

ALEKSANDER JACKOWSKI

Moja mapa kraju i okolic

Sporo jeżdżę, zwłaszcza po kraju. Wiele widzę, uczestnicząc w jury konkursu na Małe Ojczyzny. Widzisz, to opisuj – poprosił redaktor. No, to opisuję. Będą to notatki, luźne myśli. Zastanawiałem się, jak je nazwać, jak porządkować? W istocie nie ma większego znaczenia, czy przyjmę klucz chronologiczny, czy tematyczny. A czemu nie geograficzny? Przecież wszystko gdzieś się działo. Będzie to więc moja mapa kraju. Subiektywna, niedokładna, wybiórcza. Początkowo myślałem o tym, aby zacząć od Bydgoszczy, później pisać o Lublinie, Jordanowie, Nadrzeczu.

Dzieją się tam rzeczy ciekawe, czasem wręcz fascynujące. O stolicy nie pomyślałem, życie artystyczne – a przecież to ono mnie głównie interesuje – płynie w niej leniwie, potwierdza się sąd marszałka Piłsudskiego, iż Polska jest jak obwarzanek, wszystko, co ciekawe, znajduje się na obrzeżach. A jednak zacznę od Warszawy za sprawą kilku wydarzeń, które gwałtownie podniosły w niej temperaturę życia kulturalnego.

Warszawa

Najpierw było spokojnie, wręcz nudnie. Kongres Kultury Polskiej. Impreza, po której niewiele można było oczekiwać, chyba że za jej sens uznamy szum medialny i udział w oficjalnych sesjach prezydenta, premiera, ministra kultury. Kongresy służą na świecie spotkaniom, kontaktom bezpośrednim, ale tym razem skład uczestników nie ułatwiał tego. W tłumie działaczy terenowych, urzędników trudno było dostrzec wybitnego twórcę, krytyka, artystę. Do tego większość uczestników była już w wieku, kiedy się sumuje doświadczenia, a nie dąży do zmiany świata. Trudno się więc dziwić, że w noworocznej ankiecie „Przeglądu” uznano kongres za największy bubel kulturalny roku. Kosztowny – ale trzeba przyznać – znakomicie zorganizowany (ukłon w stronę Fundacji Kultury). W odróżnieniu od nieco wcześniejszego Kongresu Kultury Chrześcijańskiej w Lublinie, na którym ciekawa była konfrontacja przemysłów teologów, filozofów świeckich

(m.in. Leszka Kołakowskiego) i hierarchów – w Warszawie nie było nawet szans na podjęcie ważnych problemów sztuki, krytyki, zastanowienie się nad wciąż pogłębiającą się degradacją kulturalną wsi. Zabrakło kompetencji i wyobraźni. Nawet imprezy towarzyszące przeszły bez echa, choć *Wesele* w inscenizacji Jerzego Grzegorzewskiego mogło sprowokować do dyskusji o stanie teatru, kondycji aktora. Podobnie wystawy rzeźb Magdaleny Abakanowicz i obrazów profesorów ASP nie spotkały się z żadną reakcją, a przecież była szansa zastanowienia się nad wieloma problemami, jak choćby pedagog – uczeń, odbiorca, krytyk. Muzykę polską zaprezentowano wykonaniem dzieł tylko Krzysztofa Pendereckiego, a przecież pod tym hasłem koncertu należało pokazać także innych twórców, że wspomnę choćby Henryka Mikołaja Góreckiego, Pawła Szymańskiego, Pawła Mykietyna.

Temperaturę artystycznego życia podniosły dwie wystawy w salach Zachęty, świętującej właśnie stulecie swego gmachu (bo przecież nie programu instytucji!). Jedna, *Klasycy XX wieku* z rewelacyjnym, jak na nasze warunki, wyborem dzieł wypożyczonych przez muzea europejskie i amerykańskie „na słowo”, bez ubezpieczeń (kolosalnych!); druga – ukazująca sztukę polską XX wieku w optyce znawcy sztuki europejskiej, dyrektora Biennale w Wenecji Harald Szeemana. Nie wiem, czy podejmując się wyboru, zdawał on sobie sprawę z tego, jak trafną nazwę zaproponował: *Uważaj wychodząc z własnych snów, możesz się znaleźć w cudzych*. No i znalazł się... Ale o tym za chwilę, trzymajmy się chronologii. Czego? Skandali. Całej sekwencji skandali.

Zaczął się od małej wystawki wypełniającej salę tuż obok Klasyków. Był to niefortunnie zatytułowany (dla widza nawykłego do ścisłości) zestaw kilkudziesięciu fotosów filmowych, przedstawiających aktorów z całego świata grających w hitlerowskich mundurach: *Naziści*. Autor wystawy Piotr Uklański nie wchodził w to, czy grali drani, a byli porządni, jak nasz Kloss, czy też wcielali się w postacie oprawców. Refleksje pozostawił widzom. Byłem parę razy na tej wystawie, słyszałem komentarze – a co to ma ze sztuką wspólnego? Dlaczego w Zachęcie? Ale wszystko przebiegało spokojnie do momentu, kiedy w akcję wkroczył Daniel Olbrychski, poruszony tym, że pokazano jego fotos z filmu Claude'a Leloucha. Krewki i boleśnie dbający o swą popularność aktor zareagował brawurowo. Franciszek Starowieyski powiedział później, że to był najlepszy happening w tej instytucji. Olbrychski zagrał święte oburzenie. Uznał, że wystawa obraża jego i jeszcze kilku kolegów. Jakim prawem nazwano go nazistą? Podobno sprowokowało go pytanie jakiejś dziewczynki – To Pan jest nazistą? „Spontanicznie” wtargnął w płaszczu do Zachęty, nie zatrzymywany przez nikogo (Jak to? Zatrzymać pana

Olbrychskiego?). W sali już czekał tłumek dziennikarzy, fotografów i... gotowa do pracy kamera. Aktor poczekał, aż pójdzie w ruch, wtedy wyciągnął spod płaszcza Kmicicową szablę i pociął nią kilka fotogramów, wyrażając tym swe oburzenie.

Zacząła się dyskusja, miał czy nie miał racji, woźnego wyrzucono, minister na wszelki wypadek kazał wystawę zamknąć. Niestety, brawurowa akcja, przypominająca aktora w dziennikach telewizyjnych, i to nie tylko polskich, miała także inny aspekt – podważyła zaufanie do dyrekcji Zachęty, która nie umiała ochronić powierzonych jej prac, a przecież obok, w sąsiedniej sali wisiały dzieła Picassa, Salvadore Dalego. Ciekawe, czy po tym wyczynie znajdą się muzea gotowe wypożyczyć Zachęcie cenne eksponaty bez ubezpieczenia? Nie chcę myśleć, co by się mogło stać, gdyby z szabelką przyszedł ktoś nie lubiący Picassa, np. miłośnik kobiecej urody.

Atmosfera została podgrzana, o niczym innym nie mówiono w towarzyskim świątku stolicy. Nic bowiem tak dobrze nie robi sztuce jak skandal. Nawet w odległym Barcinie, idąc w ślady Artysty, była pani burmistrz wtargnęła do Urzędu Miasta uzbrojona w szablę samuraja, chcąc zaprowadzić porządek. Ale w tym przypadku happening skończył się smutno, kaftanem bezpieczeństwa i odwiezieniem do szpitala w Świeciu.

Ze skandalami jak z tramwajami. Jeden idzie za drugim. Dopiero co przebrzmiało echo występu pana Daniela, który – jakby skruszony – w tejże Zachęcie towarzyszył prezydentowi w odsłonięciu tablicy upamiętniającej zabójstwo Gabriela Narutowicza, deklamując strofy Norwida – gdy drugi skandal przyćmił pamięć pierwszego. Sprowokowała go kompozycja włoskiego artysty Maurizia Cattelaniego, przedstawiająca naszego Papieża ugodzonego meteorytem. Przygnieciony kamieniem leżał jak Chrystus pod krzyżem z ludowych kapliczek. Głowę trzymał wysoko, pastorał też wskazywał, że Papież nie poddaje się cierpieniu.

Co ta rzeźba miała wspólnego z ekspozycją? Kurator wystawy wyjaśniał, że potraktował ją jako hołd oddany polskiej sztuce i temu, kto jest najlepszym ambasadorem Polski na świecie.

Zawrzało. Jeszcze przed wernisażem stadko reporterów atakowało znane osobistości, krytyków. I mnie oblegli. Co myślę o rzeźbie Papieża? Próby mówienia o rzeczywistych problemach wystawy ignorowano, ciekawiła tylko reakcja na tę rzeźbę. Czy panu się podoba? Kilkanaście mikrofonów podniosło się jak główki węży. Odpowiedziałem, że jest to raczej publicystyka, i jeśli o niej mówić, to nie w kategoriach dobrej czy złej rzeźby, lecz symboliki. No właśnie! – atakowano. Więc wspominałem o tym, jak Tycjan czy Velasquez pokazywali papieży. Oficjalnych, tronujących. A nasz – mówiłem – to pielgrzym, następca Piotrowy, który dźwiga na

sobie ciężar współczesnych problemów Kościoła. Więc – rozumiem myśl autora – Papież przytłoczony, umęczony, a przecież nie poddający się. – A dlaczego meteoryt z nieba? Tu już nie umiałem znaleźć odpowiedzi. – A czy wie pan, że ten Cattelani to świnia? – A słyszał pan, odpowiedziałem, że i Caravaggio nie był świętym. Bandzior, a jakie piękne jest jego *Złożenie do Grobu*, które przed kilku laty podziwialiśmy w Muzeum Narodowym.

Skandal, którego wyczekiwano, nastąpił. Do akcji wkroczył nieznaną dotąd opinii poseł Adolf Tomczak i – jak o niej pisano – Niedobra Nowina-Konopczyna. Legitymacje poselskie zapewniają bezkarność, nawet w Zachęcie. Poseł i poślica mocno się natrudzili, by zdjąć kamień z Papieża. Ciężki był! – skarżył się pan Tomczak. Salę zamknięto, podobno Cattelani wył z radości. Także nasz kowboj – Wojciech Cejrowski – próbował przykryć rzeźbę prześcieradłem, ale ponieważ nie był posłem, obezwładniono go i wyproszono z budynku.

W takiej atmosferze dyskusja o wystawie zesłała na daleki plan. A przecież Szeeman swym wyborem zaszkodził. Tym, co pokazał, i jeszcze bardziej tym, czego nie pokazał. Każdy z nas może mu mieć wiele do zarzucenia. W porządku. To też wspaniale byłoby wkrótce po tej zobaczyć następne wystawy – wybory różnych krytyków, artystów, pisarzy. Takie wystawy widziałem np. w londyńskiej National Gallery. Bardzo ciekawe. Jakże chętnie zobaczyłbym u nas wybór zrobiony przez Czesława Miłosza, Jacka Sempolińskiego i, powiedzmy, Wojciecha Krukowskiego. Różne spojrzenia.

Co było ważne w propozycji Szeemana? Pierwsze: koncepcja wystawy jako dzieła sztuki, reżyseria nastroju, sale zawieszane od podłogi po sufit (plakaty) i dające oddech, z dużym luzem, wręcz teatralny efekt dwóch wielkich sal – jedna, cała sprowadzona do białej powierzchni mydła (śmierdzącego). To Bałka. Zaskoczenie „zmarnować” całą salę dla takiego pomysłu? A w następnej, Matejkowskiej – z powidoku bieli przierzucamy się na szkarłatną plamę krwi. Tylko jeden, mocno oświetlony obiekt, figura Jana Pawła II, ugodzonego meteorytem. O rzeźbie jako takiej nie ma co mówić. Publicystyka. Jeśli spierać się, to o to, co znaczy meteor? Czy Papież pada, czy się podnosi?

Pytanie, co to ma wspólnego z wyborem dzieł stulecia? Nic, zwłaszcza że praca Włocha. Jedyne, co uzasadnia tę salę, to efekt teatralny. Znakomita koda finałowa ekspozycji, którą oglądało się z żywym zainteresowaniem. Autor pokazał, co jego zdaniem – cudzoziemca, eksperta – jest ciekawe w sztuce polskiej. Więc celny wybór obrazów Jacka Malczewskiego i Witkacego. Zabawne zestawienie napuszonego autoportretu Malczewskiego ze stojącą naprzeciw woskową figurą – autoportretem Pawła Althamera, żalostnego w swej nagości. Ciekawie skonstrastowane intymne rzeźby Aliny

Szapoczników z konstruktywistami, Kantor z akwarelami Nikifora. Włączenie jego do panteonu sztuki „wysokiej” dla mnie oczywiste. Nieraz to postulowałem. Dalej – mądre wyeksponowanie filmów o walorach plastycznych (Hasa, Trelińskiego). Plakat. To oczywiste, właśnie w plakacie mamy wybitne dokonania w skali światowej. (Idąc tym tropem, dodałbym karykaturę polityczną, rysunki Mleczki, Czczota, Dudzińskiego).

A czego brak? Kolorystów! W pierwszej chwili pomyślałem – jak to? Przecież walka o sztukę toczyła się u schyłku okresu międzywojennego właśnie za sprawą kapistów. A tu – nikogo. Sam byłem emocjonalnie związany z koloryzmem i nagle Szeeman kazał mi spojrzeć inaczej. Koloryzm był w swoim czasie naszą polską wojną o sztukę, wojną z Bractwem św. Łukasza, ale z perspektywy osiągnięć? Z perspektywy Paryża, Bonarda...

Czego bym bronił? Makowskiego (Tadeusza), może Nachta-Samborskiego, Potworowskiego. Ale tu już zmieniamy koncepcję autora. Jego wybór pokazuje bowiem to, co u nas nowe, twórcze, ciekawe dla „Europejczyka”. Więc nie dobrze czy nawet świetnie namalowane obrazy. Wówczas bowiem upomnieć się można o wielu malarzy, że wymienię Brzozowskiego, Tchorzewskiego, Lebensteina. Pozostańmy jednak przy założeniach Szeemana. Idąc jego tropem, zabrakło mi Hasiora (ale czy pokazano go Szeemanowi w Zakopanem?), fotografii pomnika Haupta i Duszenki w Treblince, a z żyjących malarzy Nowosielskiego i Tarasewicza.

Czy to dobrze, czy źle, że zrobienie jubileuszowej wystawy powierzono „obcemu”? Nie mam wątpliwości, że to był interesujący eksperyment. Przecież na tej wystawie świat się nie kończy.

Tyle o Zachęcie. Ale ze skandalami nie koniec. W tym samym czasie otwarto wystawę 32 młodych plastyków w Zamku Ujazdowskim. Publiczność oglądała wystawione prace, komentując je różnie. Atmosfera się ożywiła wyraźnie, gdy zaprotestował biskup połowy. Co go tak wzburzyło? W jednej z sal puszczono wideo Artura Żmijewskiego – musztrę z bronią Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Karabiny, wojskowe kaszkiety, buty, reszta – jak Pan Bóg stworzył. No i skandal. Obraz wojska. Przyglądałem się musztrze, rzeczywiście wybrano niespecjalnie dorodne okazy, choć nieporównanie masywniejsze od tych na przeciwległej ścianie, biedaków z Dworca Centralnego. Autor Paweł Althamer rozebrał tych nieszczęśników i kazał im tańczyć w koło, trzymając się za ręce. Takie nawiązanie do *Błędnego koła* Jacka Malczewskiego (a może do Matisse’a). Żenujące. Rozumiem, że się chce przekraczać granice tego, co jest – a nie jest „sztuką”, popodważać granice dobrego smaku, piękna (robił to już Rembrandt i nieźle mu to wychodziło) – ale ten numer z biedakami jest dla mnie żenujący.

Ponieważ środowisko Radia Maryja do Zamku Ujazdowskiego raczej nie uczęszcza, pozostał niezauważony ukrzyżowany demon (?) z dziwnym krzyżem nad głową. Czarny, satanistyczny? Czy uda się mu ocalić od skandalu?

Problem jest szerszy, nie da się ograniczyć do jednego dzieła eksplodującego skandalem. Sztuka dzisiejszego czasu szokuje, daleko wykracza poza tradycyjne formy. Tego się nie zmieni, nie cofnie. Artyści szukają nowej przestrzeni działania, badają coraz to inne środki ekspresji. Muszą atakować wyobraźnię i wrażliwość odbiorcy, który – tak jak i oni – jest poddany presji telewizji, otepiany brutalnością, wciąż zaskakiwany świadomością rzeczy strasznych, przed którymi każda próba ucieczki jest złudzeniem. Żyjemy w świecie, którego sztuka zmienić nie jest w stanie. Uciekamy w nią, ale tylko przeszłość, już ucukrowana, może nam zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Problemem staje się więc nie zderzenie z dziełem, które szokuje, ale miejsce, w którym wiemy, że go nie spotkamy, bądź takie, w którym chcemy być zaskakiwani, szokowani, zmuszani do refleksji. Rada, najbardziej prymitywna z prymitywnych, może być tylko jedna – wyraźna stratyfikacja galerii. Świadomość, że tu – w Centrum Sztuki Współczesnej – zobaczą wszelakie próby, udane i nieudane, płaskie i głębokie, rodzime i z całego świata, natomiast zupełnie inne doznania czekają mnie w Muzeum Narodowym, Kordegardzie i Zachęcie (ograniczam się do Warszawy). Być może, gdyby Zachęta stała się galerią środka, pokazującą dzieła dojrzałe, sprawdzone, w szerokim spektrum artystycznych propozycji mógłbym w niej zobaczyć zarówno wybór Szeemana, jak też obraz Jacka Siennickiego, grafiki Gielniaka i Panka, dzieła Hasiora, Abakanowicz, a także najciekawsze, już „sprawdzone” dzieła młodych. Natomiast rzeczy nowe, eksperymentalne, zwrócone ku własnej (młodej) publiczności niechby przyciągały uwagę w Zamku Ujazdowskim. Nie – że tu lepsza sztuka, tam gorsza, tylko selekcja z myślą o odbiorcy. O ukształtowanej (tak się już dzieje!) własnej publiczności, kręgu krytyków. Taką linię programową ma galeria Foksal, Studio – a na drugim biegunie Zapiecek, galeria Napiórkowskiej. W centrum Kordegarda, Zachęta. Zwróćmy uwagę, że tak się dzieje z muzyką. Festiwale Muzyki Współczesnej są okazją dla debiutów, eksperymentów, natomiast Filharmonia pokazuje dzieła już sprawdzone, takie, które firma rekomenduje swym słuchaczom.

Bronię prawa do satysfakcji estetycznej – nazwijmy to starszej publiczności i prawa młodych do eksperymentu, do wiedzy o tym, co – gdzie aktualnie powstaje. Szczególna sytuacja postawangardy wynika z wielu przyczyn, których analiza nie jest na tym miejscu możliwa. Zwrócę więc tylko uwagę na okoliczności, które towarzyszą współczesnej twórczości plastycznej:

Bydgoszcz

– załamanie systemu wartości. Zanegowanie kategorii piękna,

– rozszerzenie granic estetycznych i etycznych. Szok, zaskoczenie jako kategoria estetyczna,

– konkurencja, walka o prawo do własnego głosu. Krzyku. Nawet grymasu. Działa dziś na świecie więcej artystów plastyków, niż ich żyło na całej przestrzeni wieków!

– wielość form ekspresji wizualnej: fotografia, film, wideo, plakat, moda haut-culture, reklama, wzornictwo, grafika komputerowa,

– włączenie przeszłości w nasze życie, łatwość podróżowania, przeżywania dzieł muzealnych, reprodukcje, powszechna dostępność płyt, albumów,

– odrzucenie sprawności rzemieślniczej jako ważnego kryterium oceny, co sprawia, że kryterium takiego trzeba szukać w samym dziele, systemie, w jakim funkcjonuje.

W takiej sytuacji nie może dziwić szukanie przez twórców „nisz”, własnych form wypowiedzi, które mają ich wypromować. W tłoku, aby zostać usłyszanym, trzeba krzyczeć. Rzeczą krytyki jest porządkowanie faktów, ale krytyka obumiera. Nie ma forum dla wypowiedzi, redaktorzy opędzają się nawet od współpracowników redakcji. Przy tym obok krytyki „merytorycznej” jest także zjawisko lobbingu, tworzenie się różnych mód, w których sława, popularność i sukces finansowy wcale nie pokrywają się z oceną krytyki. Dla mnie znakomici, najwięksi: Nowosielski, Panek, Tarasewicz, Siennicki, w każdej publicznej ankiecie przegrają z Dudą Graczem. Też zresztą dobrym, tyle że „inaczej”.



Dopisuję w korekcie. Aby nie zaognić sytuacji, Anda Rottenberg, postanowiła, w porozumieniu z ministrem, ustąpić ze stanowiska. W zamian minister miał ją mianować swym pełnomocnikiem do spraw muzeum sztuki współczesnej, a także powołać w skład zespołu, który wybierze jej następcę. No i co? Pan minister wycofał się, a Anda Rottenberg dała ogłoszenie w gazecie – szukam pracy. Wstyd.

Tenże minister zwalnia kompetentnego dyrektora Ośrodka Dokumentacji Zabytków. Ma prawo, ale podaje przez swego rzecznika kłamliwe uzasadnienie – za wynajęcie domu, wiedząc, iż właśnie za to został zwolniony poprzedni dyrektor, nie mówiąc już o tym, że „prosiło” go o to właśnie ministerstwo.

Największym skandalem jest to, co się dzieje dokoła nominacji ministrów kultury. Decydują motywy polityczne, szuka się miejsca dla kogoś, kogo nie można zatrudnić gdzie indziej. Ponieważ zdrowie, oświata, gospodarka wymagają kompetencji. Tylko na kulturze zna się każdy.

Konkurs im. Teofila Ociepki i wystawa prac. Ważny powód, by zastanowić się nad tym, czym jest twórczość spontaniczna, powstała z wewnętrznego napięcia, taka, którą nazywamy Art Brut, surowa, naiwna, prymitywna. O tym, jak jest dziś postrzegana, świadczy warszawska decyzja Haralda Szeemana włączenia do panteonu sztuki polskiej XX wieku Łemka, mieszkającego w Krynicy – Nikifora, a we Francji niepodważalna pozycja Henri Rousseau.

Malarstwo profesjonalne wydaje się tracić energię, a twórczość ewoluuje, szukając nowych obszarów związanych z komputerem, operowaniem światłem i dźwiękiem. Kryzys sztuki? Kultury? A może tylko zmiana form ekspresji?

Jednak gwarancją tego, że twórczość potrzebna jest, zarówno temu, kto ją uprawia, jak i odbiorcy, jest zjawisko, z jakim mamy do czynienia na tej wystawie. Nazwy są kalekie, niewiele wyjaśniają. Mówimy „naiwni” (Francuzi nazywają ich pięknie „malarze czystego serca”), mówimy Art Brut, czyli twórczość nie poddana wpływom kultury, samorodna, ale są to tylko ogólniki. Istota twórczości tu prezentowanej polega na tym, że jest ona emanacją ludzkiej osobowości, wyraża świat duchowy bezpośrednio, bez posługiwania się konwencjami. Wydawać by się mogło, że jest to malarstwo poza czasem, poza miejscem, związane tylko z osobowością twórcy. Tak z nim nieodłącznie związane jak niepowtarzalne są linie papilarne. Spójrz, od razu widzisz – to Żarski, a tam Chełmowski, Rebelski, Wałęga, Kossek. Łączy ich talent, niesamowita intuicja malarska, pozwalająca znajdować – nie szukając, rozwiązywać trudne problemy artystyczne, nie myśląc o tym, jak to się robi czy robiło. Łączy ich to, że żyją sztuką, że dla wielu jest ona jedyną formą istnienia, wręcz koniecznością. A przecież każda osobowość, zwłaszcza wybitna, jest inna, można więc o ich twórczości powiedzieć za Mironem Białoszewskim, że jest „osobna”.

Konkurs, którego plonem jest wystawa, nazwano imieniem Teofila Ociepki. Ociepka, choć Ślązak, ostatnie lata życia spędził w Bydgoszczy, a należał obok Nikifora do najbardziej znanych malarzy „naiwnych”. Mistyk, okultysta, święcie wierzący w księgi, które czytał, miał poza tą naiwnością cechy, które wyrażają istotę założeń konkursu i ramy tej wystawy: autentyzm, ekspresję, osobowość, intuicję twórczą. Autentyzm. A więc odnalezienie w sobie tego tonu, który jest mój, nie wyuczony, prawdziwy. Tu nie ma kalkulacji, nie ma wyboru środków, konwencji. Jestem ja. Ja i świat.

Forma dzieła jest syntezą widzenia i możliwości wyrazowych. Syntezą nie wymyśloną, nie szukaną, ale daną. Każdy z bohaterów wystawy poproszony, by nama-

lował coś w innej konwencji, byłby bezradny. On tworzy, rozbudowuje to, co jego, własne.

Artysta uczony wybiera spośród wielu możliwości, świadomy tego, co i gdzie powstaje. Pozbywa się balastu wiedzy, by zostać sobą. Nasz bohater niczego nie wybiera, buduje swą twórczość od środka. Od tego, co jest tylko jemu dane. Nieraz wydawać się może, że chroni go jakaś psychiczna blokada, inny by się załamał, słysząc opinie sąsiadów, kolegów – on na to nie zważa, robi, co chce. Może nawet w pewnych przypadkach to, co musi.

Mówimy: naiwny. A czym jest w sztuce naiwność? Czym, jak nie synonimem dobroci, poezji, niewinności. Oglądam obrazy pani Bronisławy Babik, jeden zatytułowała *Aniolowie malują skrzydła motylom*. Piękne! Przecież to czysta poezja. Inna malarka pani Barbara Chęcka pisze na malunku: „Śniło mi się, że wychodzę za mąż”. Piękne, szczere, niezwykle lakonicznie malowane obrazy. Czuję w nich trud, ogromny wysiłek, którego efektem jest ta lakoniczność. Dostrzegam człowieka. Coś, o czym zazwyczaj nie myślę, oglądając dzieła profesjonalnych artystów. W obrazach wielu uczestników konkursu, a są nimi przecież także ludzie z Domów Opieki Społecznej, dominuje powaga. Potrzeba twórcza bywa tak silna, że realizują ją czasem niewiarygodnym wysiłkiem. Nie chcę przytaczać nazwisk, na wystawie mówi za siebie sam obraz i nie powinna tego wrażenia przesłaniać litość nad kalekim chłopcem, który może malować tylko leżąc na podłodze, lewą ręką. Ale jak wrażliwie, jak pięknie malować! Na poprzednim konkursie przeżyłem chwilę takiego wzruszenia, że dosłownie odebrało mi głos. Wręczałem pierwszą nagrodę „komuś”, kto przysłał kartony, znakomite w kolorystyce, takie, które śmiało mogłyby wisieć w każdej galerii. I zobaczyłem tego „kogoś” na wózku inwalidzkim, rozbiegane, trzepoczące ręce, piękne, gorejące oczy. I to on malował te prace! Poczuliśmy się nieswojo, zdrowy, sprawny... Sądzę, że to jest drugi aspekt wystawy, to, czym jest ona dla uczestniczących w niej malarzy. To nie komercja, nie popis czy zabawa, ale sprawa poważna. Sens życia, sposób na samotność, cierpienie, starość. Nie przypadkiem właśnie wtedy, gdy aktywność życiowa się kończy, odchodzą znajomi, pozostaje pustka, tęsknota za pracą, której już się nie wykonuje – właśnie wtedy tak wielu ludzi znajduje nowy sens – w malowaniu. Jedni czują to lepiej, inni gorzej. Ale to, co zauważam u wszystkich: czułość wobec świata, potrzeba wiary. Malują ufni, spokojni o to, jak inni ich przyjmą. Świat, który tworzą, jest im bliski, drogi, czemuż więc nie miałby być takim dla widza? Malują, aby zostawić ślad po sobie. Chociaż taki. Ale prawdziwa naiwność nie jest częsta, bywa darem, tak jak jest nim talent. To on pozwala w późnym wieku przeżyć artystyczną przygodę. Nielicznym.

Prawdziwych „naiwnych” nie jest wielu, natomiast moda na naiwnych, zwłaszcza na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych, spowodowała, że pojawiło się wielu malarzy, nawet profesjonalnych, pracujących „w stylu naiwnym”. Komercja dotarła nawet tu, gdzie – zdawałoby się – wszystko jest jej zaprzeczeniem. Na szczęście w Polsce takich pseudonaiwnych mało. A i u profesjonalistów zabawa w naiwność wygląda żałośnie. Chociaż stereotyp „naiwności” może być twórczo wykorzystany, co widać było w Bydgoszczy.

Widuję wiele wystaw, profesjonalnych artystów, amatorów, ale ta wzrusza mnie szczególnie. Tyle w niej piękna, świetnych obrazów, ale i odwołań do ludzkich losów. Przejmujących, kiedy widzimy malarstwo oddające stan ducha, obsesyjne, ukazujące piękno, ale i brzydotę świata. Piękno, ale i brzydotę ludzi. Ponieważ twórczość rodzi się zarówno z zachwyty, jak i z goryczy. Z dobra i cierpienia.

Oświęcim

W związku z konkursem na Małe Ojczyzny mieliśmy spotkanie z władzami miasta. Prezydent, wojewoda, marszałek. My słuchamy, oni mówią, długo, z wyrzutem. Dlaczego wszystkich interesuje tylko obóz? Przecież jest miasto, piękne, zadbane – a „wy” ciągle utożsamiacie je z obozem. Rozumiem ich ból, gdyby nie obóz, wszystko byłoby inaczej, goście powiedzieliby, że piękna tu zieleń, bogate sklepy, uprzejmi ludzie, dobra władza. A tak przyjadą ze świata, głównie Żydzi, tylko obóz ich interesuje, dziwią się, że dokoła jest jakieś miasto. Dla nich Oświęcim to obóz. Nawet jedzenie ze sobą przywożą, tak jakby to była pustynia jakaś. Zobaczą gdzieś antysemicki napis i już krzyk, jakby tylko na to czekali. Żalą się więc nasi gospodarze i rozumiem ich gorycz, tłumaczymy więc, że w świecie to miejsce ma tylko jedną konotację – obóz śmierci. Dlatego tu pielgrzymują młodzi ludzie z Izraela, politycy, dostojnicy państwowi. Ich optyka jest inna niż miejscowych, inne obawy, inne skojarzenia. Przypominam sobie epizod z czasu PRL-u. W mieście odbywała się duża, młodzieżowa impreza. Przyjechaliśmy całą grupą z Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury (skrót brzmiał Comuk). Co widzimy? Na placu wielki transparent: „Dziś Oświęcim, jutro Moskwa”. Oczywiście chodziło o to, że w Moskwie miały się wkrótce odbyć jakieś międzynarodowe spotkania młodzieży, ale my odczytywaliśmy sens napisu inaczej niż gospodarze. Im Oświęcim nie kojarzył się z obozem.

Pamiętam, jak po raz pierwszy pojechałem do Oświęcimia z jakąś delegacją zagraniczną. Słońce, pięknie, masa młodych ludzi na ulicacach. Ja się dziwię, moi goście też, przecież to ma być Auschwitz, a jest normalne, młode miasto. Było to jakieś dwa lata

po wojnie, mało kto jeszcze tu przyjeżdżał. Pytam o obóz. Obóz? Chyba tam, ktoś wskazuje kierunek. Obóz? Nie wiem... Obóz? Cholera by go wzięła... Dlaczego? Zagrodzili drogę z jednej części miasta do drugiej, szła przez ten obóz. Co to komu szkodziło, że się rowerem przejechało?

Rozmawiam, rozumiem. To cmentarz świata, Europy, Holocaustu. Ale na tym cmentarzu nie ma ani jednego grobu mieszkańca Oświęcimia. Obcy cmentarz, gdzie nikt nikomu świeczki nie zapali. Wkrótce wciągnąłem się w dyskusję dotyczącą oświęcimskiego pomnika. Ogłoszono na niego konkurs. Patronowały mu najsłynniejsze nazwiska architektów, rzeźbiarzy. Nie było po wojnie konkursu z równie wybitnymi jurorami, z taką ilością nadesłanych projektów. Wybrano polski: Jerzego Jarnuszkiewicza, Oskara Hansena, Juliana Pałki. Był to nieprawdopodobny wręcz sukces, tym bardziej że mowy nie było o kurtuazji, a koncepcja projektu zachwycała jurorów. Ale nie polskie władze, nie Cyrankiewicza, nie działaczy i artystów, którzy byli więźni w obozie. Zarysowały się dwie koncepcje: jedna „obozowiczów” – odtworzyć w pełni kształt baraków, zasieków, drózek, placów. Skansen. Tak jak było. Druga: skierowana w przyszłość, mająca przyszłym pokoleniom przekazać dramat tego miejsca, jego ekspresję. Pierwsza dawała satysfakcję byłym więźniom. Tak to było! Mogli powiedzieć bliskim. Druga tworzyła wizję obozowego koszmaru. Polegała na reżyserii nastroju, w czym swoją rolę odgrywały autentyczne elementy. Obóz bowiem w tamtym czasie był na połę zniszczony, domy spalone, z baraków zostały trzony pieców i kominy. Wywoływało to bardzo silne wrażenie. Otóż autorzy polskiego projektu zakładali, że wszystko to zostanie nietknięte, dokument martyrologii. Teren obozu miała przecinać czarna droga, ukośnie, przechodząc przez zniszczone baraki, ścieżki i place obozowe. Tak jakby to było zawieszoną w powietrzu galerią, z której widz oglądał z bliska baraki, nie naruszając świętości tego miejsca. Tu nie będą jedli kanapek z wędliną, powiedział mi Jarnuszkiewicz. A co się stanie po latach, gdy i te trzony pieców ulegną zniszczeniu? – pytałem. Czas robi swoje, odpowiedział. Obraz się trochę zmieni, ale zostanie siła ekspresji tego miejsca.

„Obozowicze” nie chcieli tego uznać. Dla nich upamiętnienie oznaczało odbudowę spalonych baraków, z narami, słomą, no i solidny pomnik figuratywny, pod którym delegacje mogły składać wieńce. Pytałem Ewę Szelburg-Zarembinę z Komitetu Więźniów, a co, gdy deski zmurseją, dach się zapadnie... Zrobi się nowe, na wzór dawnych – odpowiedziała.

Skończyło się to kompromisem. Szkoda. W sztuce kompromisy nie popłacają. Połączono, wbrew pierwotnej decyzji jury, kilka projektów w jedno, nasz „czysty” w linii myślenia z paroma włoskimi, werystycznymi

(np. rzeźba naśladowująca wagony, którymi zwożono więźniów).

O Auschwitz jeszcze jedno chciałbym powiedzieć, stał się tematem kompozycji plastycznej.

Autor zareagował na spowszednienie obozu, na jego wykorzystywanie w różnych sytuacjach – zaproponował klocki lego, z których każde dziecko mogłoby sobie zbudować własny obóz. Mówi się, że współcześni artyści oderwani są od życia. Niesłusznie. Trzeba tylko dostrzec, jak na to życie reagują. Negacja też jest postawą. A lego Zbigniewa Libery podobnie jak dzieło Magdaleny Abakanowicz mówią o dramacie naszych czasów więcej niż rozsiane po Polsce martyrologiczne rzeźby z powykręcanyymi na wszystkie strony członkami. Zwróćmy uwagę na to, jak ważny jest w dziele artysty takt. Dystans. Krzyk brzydzi, patos zamienia się w kicz. Naprawdę nieczęsto spotyka się dzieło, które wytrzymuje miarę patosu, w którym on nie razi i nie odrzuca. Takim jest Osipa Zadkina pomnik spalonego miasta stojący w Amsterdamie. Ogromna postać człowieka, w bezsile wznosząca ręce ku górze, wypalona w środku. Wielkie dzieło. Patetyczne, tak jak są nimi symfonie Beethovena, Walhalla Wagnera czy śmierć Izoldy. Pomyśleć, mogliśmy mieć tę rzeźbę w Warszawie. Przecież powstała z myślą o niej, o tragedii palonego miasta. Zadkin proponował ją naszym władcom, ale zbyt daleko odbiegała wówczas od tego, co się mieściło w ramach socrealizmu. Ciągłe wówczas myślano o tym, co sobie pomyślą radzieccy towarzysze. Ale powstało i u nas dzieło wielkie, może jedno z największych na świecie. Na miejscu kaźni setek tysięcy ludzi. W Treblince.

Treblinka

Zawsze ją komuś pokazuję, tym razem moim dzieciom. Wozilem do Treblinki Wiktora Szklowskiego, radzieckich rzeźbiarzy i historyków sztuki, francuskich przyjaciół. Jadąc z Mazur, miałem w pamięci złą drogę, ale teraz była już straszna. Od pół wieku nikt jej nie poprawiał, to już kraniec Europy, dzikie ziemie. W centrum Polski! Most, którym strach było jechać, kręte, nie oznaczone odnogi, brak tablic informacyjnych, które jeszcze kilka lat temu były. Ktoś, kto ma wolę i zna język polski, trafi, ale cudzoziemiec? Tabliczkę informującą „Muzeum martyrologii w Treblince” spostrzegłem, ale... już daleko za wsią Treblinka. Zawsze, kiedy wchodzę na teren byłego obozu (tego, do którego kierowano transporty Żydów z getta warszawskiego), ogarnia mnie wzruszenie. Patos i nastrój tego miejsca, w którym kamienie, niebo, jałowce i sosny tworzą przestrzeń zupełnie wyjątkową. Porażającą. Nie śmiem powiedzieć pięknem, ponieważ to pojęcie rodem z estetyki zupełnie tu nie pasuje. Cmentarz. Jeden z najwięk-

szych w Europie. Niezwykły. Bez grobów. Wszędzie, gdzie stawiam stopę, mogą być ludzkie prochy, są, przemieszane, wtopione w ziemię. Cmentarz zabijanych w tym samym czasie, bezimiennych. Kamienie-ostrosłupy, duże i małe, o różnym kształcie i zabarwieniu, symbolizują miejsca, z których przywożono transporty, imiona mordowanych. Jest ich wiele, tysiące – martwe kamienie, sztorcem ustawione, na podobieństwo maczew, ale bez żadnych dekoracji, słów, gestów. Nikt ich swoim zmarłym nie stawiał, bo i ci, co powinni, sami tu leżą. Jest w tej przeraźliwej scenerii pustka, wielkie niebo rozpięte nad cmentarzyskiem, przyroda, aż krzycząca swoją bezwzględnością. Czas upływa, jałowce rosną, jak siostry tych kamieni, zielone, żywe, obojętne. To one są jak głaz nieczułe, kiedy kamienie płaczą. Każdy z nich jest inny, jak ludzie, którzy tu leżą.

Treblinka jest dziełem dwóch architektów z Wybrzeża: Zygmunta Haupta i Franciszka Duszenki. Jest pomnikiem o wielkiej sile wyrazu. Takim, który uruchamia wyobraźnię, zmusza do refleksji, uświadomienia sobie tego, co wydaje się niemożliwe. Przyzwyczajiliśmy się mówić – Holocaust. Naturalnie, jak wiosna, burza, śmierć. A w scenerii Treblinki to słowo nabiera mocy. Poraża.

Zawsze, gdy jestem w Treblince, czuję się tak, jakbym odbył ważną pielgrzymkę. Nie mówię i zauważyłem, że nikt z ludzi, których tam przywiozłem, nie miał ani chęci, ani odwagi mówić póki nie odeszliśmy daleko.

Jordanów-Wysoka

Dwór na Wysokiej. Masywny, renesansowy, obronny, z kamienia, dwupiętrowy. Niegdyś pewnie górujący nad pobliskimi domami, teraz po części wtopiony w otoczenie, w zieleń. Kilkadziesiąt metrów w dół, ku szosie – brzydki, za to duży budynek straży pożarnej, w bok – szkoła. Przed wejściem trawnik i luka w koronie drzew, przez którą widać rozległy, przepiękny krajobraz. W dali, już niewidoczna, Chabówka, Rabka.

Dwór odbudowali Pilchowie. Ania, pełna gracji, poetessa, z wielką prostotą i kunsztem śpiewająca stare kancjonały, pieśni renesansu i średniowiecza, i jej mąż Antoni, z gorejącymi oczami, ruchliwy, niewielki, może dlatego tak przywiązany do lutni. Muzyk. Lutnista, wykształcony w Anglii, istota niespokojna, ciągle w ruchu. Koncertuje (ok. 200 występów rocznie), prowadzi Akademię Chorału Gregoriańskiego, szefuje Bractwu Lutniowemu. Twórca i gospodarz tego domu – Dworu na Wysokiej.

Przyjeżdżam tu, kiedy tylko mogę. To jedno z moich ulubionych miejsc w Polsce. Pilchów poznałem w związku z konkursem na Małe Ojczyzny. Ich siedziba jest dobrym przykładem dzisiejszego rozumienia pojęcia małej ojczyzny. Wywodzi się z ojcowizny, tak jak

niemieckie Heimat. Ale po wojnie, gdy pół Polski zostało pozbawione rodzinnych domów, migrowało, wędrowało, zaludniało ziemie zwane odzyskanymi – ojcowizna straciła sens. Spotykamy jej ślady w telewizyjnych serialach, tam gdzie domy służyły kilku pokoleniom, gdzie stanęły rodzinne grobowce, ale współcześnie mała ojczyzna to miejsce przeze mnie oswojone, w którym czuję się u siebie, działam, zmieniam mój świat, tak jak chcę i mogę. Mała ojczyzna to także świadomość miejsca, jego historii, losu. To coś, co chcę po sobie pozostawić przyszłym pokoleniom.

Dwór na Wysokiej to pamięć Żeleńskich, teraz zdegradowana z rodzinną (Ani) tradycją sienkiewiczowską, to miejsce najbardziej rozśpiewane w Polsce, do którego przyjeżdżają setki i tysiące ludzi z całego świata, muzycy, zespoły, specjaliści muzyki renesansu, młodzi i dojrzały. Tu odbywają się międzynarodowe spotkania, kursy mistrzowskie, tu spotkałem zespół śpiewaczy z Białorusi, stare i młode kobiety, wzruszone serdeczną gościnną, Szkołę Kultury i Uśmiechu z Petersburga, grupę kilkudziesięcioosobową, która uprawiała tańce i muzykę renesansu, maski i kukielki. Wspaniałych ludzi.

Oczywiście dwór kosztuje, wymaga nieustannych starań, zabiegów o sponsorów. Ciągłe się jest na granicy bankructwa, ale kiedy się wydaje, że to koniec – znajduje się instytucja, fundacja, oferujące swą pomoc. My, jurorzy Fundacji Kultury, też się do tego przyczyniliśmy, przyznając Pilchom I nagrodę w drugiej edycji konkursu. Dwór się rozwija, obrasta w nowe pomieszczenia, przybyła zabytkowa chałupa, ocalona przed zniszczeniem (obecnie noclegownia młodzieży), kuźnia, zmieniona na warsztat, podziemia dworu, teraz wyłożone zabytkowymi płytami, które niecnota ksiądz wyrzucił z kościoła, zastępując nowymi. W podziemiach tych będą wystawy malarstwa, fotografii.

I tu dochodzimy do istotnego dylematu – dla kogo to wszystko? Dla gospodarzy (sposób na życie), dla gości, jak już powiedziałem – licznych, trochę dla dzieci i młodzieży ze wsi. Trochę, ponieważ wieś i dwór to dwie różne rzeczywistości. Wieś ma dom kultury, popkulturę, muzykę głośną i nieskomplikowaną – dwór aż dyszy kulturą elitarną, wzniosłą i piękną. Ale porozumienia nie ma, to znaczy jest, ale tylko przez Kościół, w którym Pilchowie śpiewają (zresztą nie to, co lubią parafianie), i szkołę, gdzie Pilch uczy muzyki. Tylko te punkty są styczne, wyczuwalny jest antagonizm dworu i wsi, nie taki co prawda jak niegdyś, gdy w czasie rabsacji Szeli chłopci różnili panów ze dworu, ale związany z różnicą modeli kultury, zachowań. Dwór jest na zewnątrz wsi. Pewnie drażniący tą muzyką, której wsi trudno słuchać, drażniący swoją obcością. Nagroda dla Pilchów to była nagroda dla nich za ich pracę we dworze, za popularyzację kultury mieszczańskiej, dworskiej, za to, co dają młodym ludziom zainteresowanym daw-

nią sztuką. Tak jest w większości przypadków, z którymi się zetknąłem. Po jednej stronie państwo, po drugiej wieś. To prawda, panowie kokietują wieś, ale są w swym modelu życia, kultury dla tej wsi obcy.

Jest jednak wśród laureatów konkursu na Małe Ojczyzny przykład współdziałania jednej i drugiej społeczności. Byłem tam ostatnio późną jesienią i odwiedzam to miejsce, kiedy tylko mogę. Jest to:

Nadrzecze

Fundacja Kresy 2000. Wymyślił ją i stworzył aktor warszawski Stefan Schmidt. Osiadł w wiosce pod Biłgorajem, niedaleko od miejsca, w którym mieszkali jego rodzice. Ojca pamiętano, był doktorem, człowiekiem lubianym i poważanym. Schmidt od początku myślał o miejscu, w którym mógłby działać na rzecz wsi. Dać ludziom, jeszcze zakorzenionym w kulturze chłopskiej, to, co cenili w teatrze, muzyce, plastyce. Miał wielu przyjaciół w Warszawie. Wraz z żoną, Alicją Jachiewicz, krakowską aktorką o zniewalającym wdzięku, postanowili stworzyć dom, w którym miejscowi ludzie będą się czuli u siebie i który się stanie atrakcją dla gości z Warszawy, Lublina, Krakowa, wybitnych artystów, intelektualistów, ludzi ze świata kultury, polityki. Zaczął najlepiej, jak było można. Od razu od wspólnej pracy. Na początku wsi stał mocno już zniszczony krzyż, Schmidt przekonał wieś, by zbudować w tym miejscu dużą, drewnianą kaplicę. Zaprojektował, wyrysował, zdobył budulec. Nazwisko aktora, znanego przede wszystkim z seriali i filmów, działało zarówno na dyrektorów przedsiębiorstw, jak i na mieszkańców Nadrzecza. Pracowali razem, on i miejscowi. Już był ich, już mówiono o nim z sympatią. Ale dom to nie wszystko. Postanowił zbudować duży pawilon, z estradą, miejscem na występy, koncerty, wystawy. Zaprojektował go, naprawdę pięknie. I funkcjonalnie. Rozsądza go temperament, różnorodne talenty. Projektuje małą architekturę, maluje, miał nawet wystawę w łazienkowskiej Kordegardzie. Ale potrzebne były pieniądze. Pomógł Wiesław Ochman, też człowiek o wielu talentach. Urzekła go atmosfera Nadrzecza. Śpiewał ludziom, którzy dotąd nie mieli kontaktu z muzyką operową, z piosenką neapolitańską. A oni zaśpiewali jemu. Grupa starych kobiet w swych własnych strojach, cudownych, szlachetnych, zaprzeczających sądom o *horror vacui*. Strojom, które są w naszej kulturze najstarsze, niezmiennie od średniowiecza. To nie był folklor, wyreżyserowany popis w kostiumach. Ochman był zachwycony. Zadziałał, poprosił zaprzyjaźnionych malarzy, by ofiarowali na rzecz powstałej w Nadrzeczcu fundacji po jednym obrazie. LOT też nie odmówił, przewiózł je za darmo do Nowego Jorku. Konsulat pomógł w zorganizowaniu aukcji. Kilkanaście tysięcy do-

larów zasililo program fundacji. Powstał budynek nie tylko ładny, ale i użyteczny.

Kiedy w związku z konkursem na Małe Ojczyzny przyjechałem przed trzema laty do Nadrzecza, mogłem zapoznać się z tym, co było, zobaczyć filmy Janusza Kędziora, naprawdę dobre, profesjonalne – dokumentujące z wdziękiem imprezy: teatralne – *Zemstę* Fredry w wykonaniu warszawskich aktorów (Cześnika grał Stefan Schmidt); koncerty Janusza Olejniczaka i innych utytułowanych muzyków; recitale poezji Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej (Norwid!), Wojciecha Siemiona; wystawy obrazów Antoniego Fałata, Maśluszczaka, Dudy Gracza. Pierwsza liga, nie żadne namiastki. Frekwencja zawsze ogromna, raz, kiedy byłem, cały dzień padało, ale na sali nie widziałem wolnego miejsca. Przywłókl się w tym deszczu kulawy człowiek z Biłgoraja (8 km). Chciał zobaczyć występ, tyle słyszał o tym miejscu. Ugoszczono go, a co mi zaimponowało – rolę gospodarzy przejęli ludzie ze wsi. Organizowali przyjęcie, wcale nie skromny poczęstunek, zachęcali, opiekowali się przyjezdnymi gośćmi, jako że każda impreza ściąga znajomych i nieznanomych Schmidta z Lublina, Warszawy.

Program nigdy nie jest sztywny, kiedy byłem ostatnio, po koncercie wszedł na estradę wójt, w kapeluszu, wygłosił zgrabną orację, a po kilkunastu minutach wiersze swoje czytała dziewczyna z sąsiedniej wsi. Śpiewały staruchy, ale jak! Oczywiście na początek *Pieją kury, pieją...* spopularyzowane przez Grzegorza Ciechowskiego (to teraz ich hymn).

Panu Schmidtowi Fundacja Kultury (inicjator i organizator konkursu na Małe Ojczyzny) przyznała I nagrodę. Okazuje się, że można dać ludziom sztukę wysokiego lotu, trzeba to tylko umieć i chcieć.

Rzepczyno

Wieś liczy 200 mieszkańców, z których pracę ma 7. Gmina maleńka, biedna, wśród ludzi nastroj bez nadziei. Inercja. Oczywiście alkoholizm.

Po likwidacji pegeeru zostały zniszczone zabudowania, duży dwór, a właściwie pałac, wypalony w czasie wojny, zdewastowany. Z nim właśnie związany jest projekt, zgłoszony na konkurs „Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości”. Wytypowaliśmy go, jurorzy w Fundacji Kultury, do puli finałowej, dlatego też trzeba było do tego Rzepczyna pojechać, zobaczyć, co tam się dzieje, co zrobiono. Już przyzwyczailiśmy się do tego, że każdy wyróżniony przez nas projekt jest inny od pozostałych, niepowtarzalny, związany ściśle z osobą lidera. Oczywiście w naszej rzeczywistości musi mieć instytucjonalne zaplecze, fundację, stowarzyszenie. Także tu mamy stowarzyszenie Towarzystwo Pracy Twórczej, ale w istocie wszystko opiera się na jednej osobie. Niesamowitej. Na pani Zofii Langowskiej.

Niewielka, korpulentna, wygląda na pracownika frontu kultury, bibliotekarkę. I taką była do czasu, gdy uznała, że może zrobić dla świata i ludzi nieporównanie więcej. Sympatyczna, niepozorna. Dłonie najchętniej trzyma na białym. Uśmiecha się takim trochę zawstydzonym uśmiechem petenta. Ale w oczach, w sposobie rozmowy ma coś, co nie pozwala zbyć jej drobiazgiem – absolutne przekonanie o słuszności swoich racji. Przecież nigdy nie prosi dla siebie. Tego się nie widzi, ale ona nigdy nie prosi sama, stoi za nią wiara, przekonanie, że Matka Boska, do której modli się co rano, na pewno jej pomoże. I pomaga. Kiedyś, gdy już wydała młodzieży w internacie ostatni kawałek chleba, zaprzyjaźniony proboszcz skarcił ją, tłumacząc, że trzeba było wcześniej oszczędzać, nie dopuszczać do takiej sytuacji. Wzruszyła ramionami, pomodliła się żarliwie, ufna, że jej Matka Boska nie zawiedzie. No i o świcie przyjechała ciężarówka z jedzeniem, zapasem mąki, kaszy – przysłała ją dawna koleżanka, która miała gospodarstwo i dowiedziała się, że pani Zofia prowadzi internat. Poszła więc do księdza, widzisz – powiedziała – jaki z ciebie niedowiarek.

W istocie cały projekt, sprowadza się do jej osoby, nieprawdopodobnej mocy działania. Nim jeszcze zakończy jedno zadanie, już planuje następne. Zawsze przekraczające siły człowieka. Niewykonalne. Ale ona tego nie widzi. Matka Boska pomoże, twierdzi i dostaje od ludzi wszystko, czego potrzebuje. Już raz w ten sposób dostała materiały budowlane, ludzi do pracy, odbudowała pałac, teraz w Rzepczynie zabrała się do odbudowy następnego. Nie dworku, ale dworu, pałacu. Wypalony wymagał prac budowlanych, dachu, a więc dachówek, okien, stolarki – wszystko dostała od dobrych ludzi, firm, przedsiębiorstw. Teraz, kiedy oglądam odbudowany budynek, mądrze, pięknie wyposażony, z gazowym ogrzewaniem, nie mogę pojąć, jak do tego doprowadziła. Jak ze swoją niezachwianą wiarą i z promiennym uśmiechem przedziera się przez gąszcz finansowych paragrafów, przepisów? Wolę o tym nie myśleć. A dodać muszę, że w pałacu zorganizowała Policealne Studium Rzemiosł Artystycznych, z pracownikami witraży, konserwacji, stolarki artystycznej, malarstwa ściennego i instrumentów muzycznych. Uczy się w nim trzydziestu trzech młodych ludzi z najbiedniejszych rodzin i domów dziecka. Tu mają internat, pełne utrzymanie. Początkowo nauczyciele dojeżdżali i uczyli bez pensji, zarażeni pasją pani Zofii. Teraz studium działa już oficjalnie, w systemie ministerialnym, a poziom prac, które widziałem, jest naprawdę wysoki. Młodzież zainteresowana folklorem stworzyła zespół Rzepczyn Folk Band, który koncertuje i zdobywa nagrody na konkursach. Rzeźbi, maluje.

Pani Zofii udało się pozyskać doskonałą dyrektorkę Studium, historyka sztuki. Namówiła ją do zamieszkania w Rzepczynie. Teraz myśli o tym, jak pomóc lu-

dziom, jak zintegrować środowisko lokalne z działalnością Domu Pracy Twórczej. Jej najbliższe plany to gazyfikacja wsi, sieć wodociągów, małe zakłady przetwórstwa spożywczego; dalsze – kąpielisko, basen 25-metrowy dla wsi i turystów – ekologiczna szkoła „zielona”, ogród botaniczny, lecznica dla zwierząt leśnych okaleczonych przez kłusowników, skansen, stadnina z końmi dla gości, domki dla wczasowiczów, a obok nich ogródki z ginącą wiejską roślinnością. A więc agroturystyka jako szansa rozwoju wsi. Szanse są, teren jest piękny, czysty. A „najważniejszym problemem – jak pisze pani Zofia w aplikacji do Fundacji Kultury – jest ukazanie ludziom, że są potrzebni, przywrócenie im wiary w swoje możliwości, odbudowanie dobrosąsiedzkich stosunków i solidarność, stworzenie więzi międzyludzkiej dla wspólnego budowania przyszłości, odkrywania swych korzeni i szukanie dawno zapomnianych tradycji”.

Nie wiem, na ile te pomysły znajdują akceptację. Być może zaskakują, a nawet niepokoją. Czy uda się zaktywizować środowisko tak już porażone bezczynnością, inercją? Znam przykłady (także z Małych Ojczyzn), kiedy rozmach działania jednostki kończył się porażką, a przecież zamierzenia pani Zofii przekraczają wyobraźnię mieszkańców wsi. Jedyne, co uspokaja, to wiara w moc jej wiary. Niezależnie jednak od tego, jak potoczą się losy pani Zofii, jej przykład pokazuje, ile może zdziałać jednostka, zwłaszcza niepowtarzalna i niezastąpiona.

P.S. Pani Langowska została oczywiście laureatką piątej edycji konkursu Małych Ojczyzn.

Sztokholm

Przyjaciele zaprosili mnie do Szwecji i ażebym się nie nudził, kupili mi bilet na koncert zespołów cygańskich i węgierskich. Właśnie wtedy, na tym widowisku, Honwedzi z Węgierskiego Zespołu Tańca sprawili, że pomyślałem o Tadeuszu Sygietyńskim i początkach „Mazowsza”. Zespół węgierski tańczył w strojach stylizowanych na codzienne, mężczyźni klepali się bez przerwy, głośno i szybko, w sztylpy, uda, ręce – gdzie się dało. Trzepot tego klepania znudził mnie już po kilku minutach, coś, co ma sens na weselu czy zabawie, zamienia się na estradzie w greps choreograficzny. Szwedzi patrzyli jednak w zachwycie – porywał ich temperament tancerzy, wygibasy nóg, wykręcanych jak tylko się dało, a nawet i bardziej. Chłopcy klepali się w zapamiętaniu, raz wyżej, raz niżej. Ale pojawiły się dziewczyny, wiotkie, smukłe, wdzięczne w ruchach. Teraz chłopcy obskakiwali je, zapamiętali w tym tupaniu i trzepocie dłoni uderzających w cholewki. Zatracali się w tym wirze, w podniecających rytmach – a one spokojne, opanowane. Wład-

cze. Już po chwili wiedziało się, że to one tu panują. Figuryнки z Tanagry, tancerki z waz greckich. Połączenie niewinności z rozważą. Kuszące tą demonstracyjną niewinnością. Więc chłopcy prześcigają sami siebie, skaczą, zwijają się, demonstrują swoją jurność. A one spokojne, ruchy pełne wdzięku, kuszące błyskiem oka i delikatnym trzepotem rączek. Kto je tego nauczył? Kuszą, a zarazem patrzą trzeźwo. Wybierają. Czują, że jeśli się chce zachować urok dziewiczości, trzeba być piekielnie rozważnym. Prowokować, ale nie dać siebie sprowokować. Trzymać zmysły na postronku.

To pewnie dlatego tak często czytamy o dziewczynach, które podporządkowywały sobie chłopców, zachęcając ich do czynów okrutnych. Byli w ich rękach niemal bezwolni. A one rządziły. Zimne, piękne, pociągające.

Taniec porywał. Widz wciśnięty w fotel czuł przenikający go rytm, a oni tam – na scenie – dyszeli ciężko, zapamiętani w ruchu, podczas gdy one – wiejskie boginki – kokietowały, prowokowały – i z niewypowiedzianą gracją powstrzymywały zalotników. Patrzyłem na scenę, już wciągnięty w tę grę, poddany rytmowi muzyki. Od dawna nie widziałem tak wyraziście zarysowanej granicy żywiołów: kobiecego i męskiego. Poddałem się urokowi dziewczęcości, której nikt nie uczy, która płynie z doświadczeń pokoleń. Pomyślałem o symbolice wianka, welonu. Pomyślałem o tym, jak chciał widzieć „Mazowsze” Tadeusz Sygietyński, co go szczególnie wzruszało w naszym folklorze.

Często ostatnio myślę o Tadeuszu, był w pewnym okresie życia ważny dla mnie. O wiele bardziej niż ja dla niego, przede mną otwierały się różne drogi, on koncentrował się już tylko na „Mazowszu”. Byłem mu potrzebny nawet nie do załatwiania spraw w Ministerstwie Kultury, bo tu więcej mógł działać Kazimierz Korcelli (dramaturg), ale do sprawdzania swoich koncepcji, do tego, by przy nim być, dodawać mu energii. Pozornie byliśmy na antypodach, ja, jeszcze nie całkiem opierzony, tracący naiwne złudzenia, on – doświadczony, syty życia, już u jego schyłku. Ale ani alkohol, ani lata estrady, kabaretów, nocy spędzonych w „Adrii” i podrzędnych knajpach nie zabiły w nim wrażliwości. Wewnętrznej czystości. Zjednywała mnie jego żarliwość, pasja w tworzeniu zespołu. To był cel, do którego dążył. Mira Zimińska mówiła mi, że już na wiele lat przed wojną chciał pokazać na scenie folklor, który znał z Kolberga i własnych zapisów we wsiach kurpiowskich. Znałem partytury jego trzech szkiców symfonicznych, na moją prośbę wykonał dwa z nich (oberka i mazura) Witold Rowicki z warszawską Filharmonią. Ale na próbie. Po niej uznaliśmy, że to jednak nie jest odpowiednie miejsce dla tej muzyki. Sygietyński miał ogromny talent, komponował piękne, melodyjne piosenki, ale w większych formach nie czuł się dobrze, miał kłopoty z instrumentacją (mimo dawnych

studiów u Weberna). Nie pociągaly go eksperymenty, w folklorze cenil przede wszystkim dwa żywioły: melodyczność i rytm. Nie szukał, jak np. Karol Szymanowski czy Andrzej Panufnik, inspiracji do poszukiwań tonalnych, nie fascynowała go specyfika muzyki góralskiej, pentatonika. Najważniejsza była dla niego śliczność, wdzięk pieśni i zadzierzystość rytmów tanecznych. Jeździłem z nim sporo po wsiach kurpiowskich i opoczyńskich, widziałem, co go fascynuje. Liryka. Ten wymiar szlachetności, który przenika kolędy, który tak przenikliwie prosto wyraził Chopin w środkowej części *Nokturnu h-moll (Lulajże Jezuniu)*.

W tym miejscu muszę wspomnieć o tym, co przed wojną i tuż po niej można było usłyszeć w radiu. Była to rżnięta kapela Dzierżanowskiego, wszelakie *Gęsi za wodą, kaczkę za wodą*, nic wspólnego z góralszczyzną nie mające *W murowanej piwnicy...* albo *Góralu, czy ci nie żal*. Chłopskość pojmowano rubasznie, nie chcąc powiedzieć chamsko, ciężkie rytmy podpitego pospólstwa. Tego Tadeusz nienawidził. Piosenki, które pisał, były absolutnie pozbawione wulgarności. Czarowały subtelnością, pięknem, które było i jest w folklorze, które znajdują też w wielu pieśniach „Mazowsza” – *Hej, przelieciał ptaszek, Kukuleczka, Zachódźże słońeczko...* A także w tańcach, zwłaszcza kurpiowskich, które znam z pierwszego programu. Właśnie w nich, w tańcach, które układał Eugeniusz Papliński (jeszcze pod okiem Tadeusza). Była to wieś urzekająca, kolorowa, w karbach ceremonialności. Wieś odświętna, idealizowana. Jeden aspekt folkloru. Powiedziałbym – dziewczęcy. Uosabiała go prześliczna, młodzianka Zdzisia Kachny (później – Grąbkowska), ulubienica Tadeusza. Kiedy tańczyła, a miało się wrażenie, że jest ona do tańca stworzona, emanowała z niej dziewczęcość, niewinność, piękno – które teraz, po 50 latach, odnajduję w panienkach z honwedzkiego zespołu.

Tadeusz opowiadał mi wiele razy, jak po wojnie kształtował się w nim zamiar stworzenia zespołu inspirowanego się folklorem. Do Warszawy przyjechał w połowie lat czterdziestych zespół bułgarski „Rosna Kitka”. Same dziewczęta. Osiem, może dwanaście. To było to, o czym myślał. Postanowił więc, że stworzy polski odpowiednik tego zespołu. Dostrzegano się to w pierwszej fazie tworzenia „Mazowsza”. Przeważały pieśni, niektóre śpiewała grupa dziewczęca, lekko poruszając się w rytm melodii, tak jak to widziałem na wsi ukraińskiej, kiedy kilka dziewczyn obejmowało się i przymykając oczy, kołysało, śpiewając tęskne dumki. Najpiękniejsza, najbardziej autentyczna, surowa w swej urodzie była *Zachódźże słońeczko...* Wtedy pieśni dominowały, tańce były mniej eksponowane. Mam wciąż w oczach te pierwsze występy, poruszające, łzy mi ciekły, gdy przygasły reflektory i usłyszałem pierwsze dźwięki tej pańszczyńsianej *Zachódźże...* Uważaj, pouczał mnie Ta-

deusz, później już tego nie będzie... Czego? Piękna? Aury? Cud pierwszego razu powszednieje, napięcie opada. Urok świeżości mija, uśmiech dziewczęcy gaśnie, pojawia się profesjonalizm. Ale okazało się, że nie tylko scena ma swoje wymogi. „Mazowsze” stało się najlepszym towarem propagandowym. Tadeusza już wtedy nie było, do Karolina przyjechał ze Stanów wielki, słynny impresario Sol Hurok. Słyszałem jego komentarze, uwagi, polecenia kierowane do pani Miry. Za dużo piosenek, jeśli już koniecznie chcecie, to niech się to rusza, korowody itd. Więcej tańca. Cyrku.

Tego nie powiedział wprost, ale ciągle porównywanie z rosyjską Bieriozką, a zwłaszcza Mojsiejewem, wyraźnie określało, czego oczekuje. Trzeba było podjąć konkurencję na tym cyrkowo-estradowym poziomie Mojsiejewa, z nim wygrać na amerykańskich estradach. No, i trzeba było tak kształtować profil zespołu, by chwycił od razu za serca. Po popisach w podnoszeniu chłopców przez dziewczęta zrywała się burza oklasków. Tańce, sceny finałowe, uroda kostiumów to wszystko wiodło do obecnego kształtu zespołu. Wielkiej rewii ludowej. Rewii, w której najprawdziwszy jest strój, kostium. Choć i on uległ wzmocnieniu, trzeba było „podbić” kolory, podobnie jak dziewczyny przemienić w uśmiechnięte girlsy. Wiejskie dzieci, autentyczne panienki wymieniono z czasem na pochodzące z miast absolwentki szkół muzycznych i baletowych. Kicz, którego nie było w początkowej fazie „Mazowsza”, wkradł się i zadomowił w zespole. Przez lata program koncertów zawierał mój wstęp. Był chyba szczerzy (nie mam odwagi zajrzeć do niego), ale przysły lata, gdy to, co pisałem, co ceniłem, zaczęło mieć mało wspólnego z tym, co się działo na scenie. Mira prosiła, napisz nowy. Nie mogłem, nie chciałem. To już nie było moje „Mazowsze”. A to dawne, ze Zdzisią, Krysią Jusińską, Irką Wiśniewską (obecną Ireną Santor), przywołał mi w pamięci sztokholmski występ węgierskiego zespołu.



W Kulturhuset dwie wystawy, szeroko reklamowane. Obrazy norweskiego malarza Odd Nerdruma. Maluje realistycznie i to z wielką sprawnością. Jego płótna, dużego formatu, mają nastrój. A przy tym są patetyczne, i to zarówno autoportrety (w różnych pozach i kostiumach), jak i pejzaże – patetyczne typowym smętkiem północnego nieba. Na tym można by poprzestać, gdyby nie pewien szczegół. W co trzeciej pracy Nerdrum świntuszy. Bez wdzięku, raczej z niemiecko-koszarowym poczuciem humoru. A oto portret od góry – jak z pałacowych płócien, dostojny, w złocistym kaftanie. Od dołu zadziera go do góry, eksponuje tłusty, babski brzuch i penis, jak palec wskazujący, zadarty do

góry. Na innym obrazie goła baba sika, na jeszcze innym załatwia również inną potrzebę.

Autor nazywa swą sztukę *kitschmalaren*, czyli malarstwo kiczowate. I znów dla popisu, dla chleba panie... Żaden to kicz, nie każda obrzydliwość jest kiczem, ale hasło jest nośne, ludzie przychodzą. U nas też wystarczy, by na wystawę nazwaną kiczem waliły tłumy, z dziećmi i tobołami. *Signum temporis*. Nazwij serial telewizyjny ambitnym, na wysokim poziomie – widownia zmaleje, a przeciwnie – powiedz, że drobnomieszczański, kiczowaty – i już sukces frekwencyjny pełny. Niestety... Piszę o tej wystawie, ponieważ jej ważny aspekt związany jest z prymitywizacją i degradacją gustów za sprawą telewizji, sitcomów, seriali, zwłaszcza południowoamerykańskich.

Wielu dziś artystów umie dobrze malować, także w kategoriach realistycznych, akademickich. Precyzyjny rysunek, świadomość koloru, formy. Ale coś ich musi przecieź odróżniać od dawnych mistrzów. Surrealistyczny pejzaż, udziwnienie, wprowadzenie abstrakcyjnej konstrukcji w obraz realistycznie malowany (jak choćby u Henryka Wańka). Mistyka, symbolizm, a także – jak widać na norweskim przykładzie – prowokowanie złym smakiem. Już nawet nie brzydota, ale obrzydliwością.

A dwa piętra wyżej doskonała wystawa, ponad setka fotografii Mary Ellen Mark: *Amerykańska Odyseja*. Ameryka, jakiej nie znamy, i nie wiem, czy chcemy znać. Brudne, zaśmiecone, smutne ulice. Kosze od śmieci, budki telefoniczne w stanie nie lepszym niż warszawskie, ludzie. Właśnie ludzie. Oderwać się nie mogłem od tych zdjęć, migawkowych, bezbłędnie prezentujących istotę smutku, beznadziei, zagubienia. Ani jedno zdjęcie nie jest upozowane, a przecieź widziane w masie mają w sobie wyraźne cechy wspólne. Są doskonale skomponowane, zobaczone, ale na innej zasadzie, niż to się zazwyczaj robi. Każde ma psychologiczny i społeczny podtekst. Dzieci przedwcześnie dojrzałe, Murzynki o smutnych oczach, mężczyźni, którzy już na nic nie liczą. Małe dziecko tresowane do konkursu piękności, aktorzy, których znamy z przedwojennych filmów, zniszczeni życiem. Ludzkie wraki. Ale nie tylko treść działa na widza, lecz w równej mierze sposób widzenia (i fotografowania) pani Mark. Jedno zdjęcie nieupozowane, trzaśnięte w chwili nieuwagi modela, nie robiłoby tego wrażenia, ale już setka zwraca uwagę, na świadomość fotografa, na antytypy, konsekwentne i podobne do siebie. Ciekawa wystawa. Już nie po raz pierwszy właśnie fotografie zapadają mi w pamięć na równi z ważnymi dziełami sztuki. Wielkie moje przeżycia ostatnich miesięcy: Vermeer w Wiedniu, Velasquez i Goya w Prado oraz Salgado w Warszawie. Niesamowite zdjęcie z kopalni złota, koszmar ludzkiego trudu, upodlenia. Nasuwa się na myśl Piekło Dantego.